GŁOS

TYGODNIK POLSKIEJ MYŚLI NARODOWEJ

Rok VI — Nr. 16 Poznań, dnia 17 maja 1936 Cena 20 gr

Karol Stojanowski, Poznań

Zagadnienie organizacji rodowej wsi polskiej

(Część X cyklu „Chłop a państwo narodowe“)

Artykuł obecny nawiązuję do uwag, zawartych w piątym artykule niniejszego cyklu, zatytułowanym „Oświata, zamożność i twórczość“. Stanąłem w nim ongiś na stanowisku zachowania jednostkowego prawa własności. Dziś, po półtorarocznem przemyślaniu zagadnień, dotyczących położenia naszej wsi i możliwości wyjścia z naszego kryzysu, doszedłem do wniosku, że należy dopuścić u nas obok obowiązującego jednostkowego prawa własności, także rodowe prawo własności. Rodowe przytem wspólnoty mogłyby się organizować tak samo we wsi chłopskiej jak też ziemiańskiej. Realizując rodową organizację społeczeństwa nawrócilibyśmy do naszych rodzimych tradycyj ustrojowych, bardzo jeszcze żywych, przynajmniej, jeśli mowa o tradycji w naszej historjografji. Tym, którzyby chcieli te nasze tradycje poznać, polecam syntetyczną pracę prof. Kazimierza Tymienieckiego pod tytułem „Społeczeństwo Słowian lechickich“, Lwów 1928. Połowa tej ciekawej i cennej książki jest poświęcona właśnie rodowi słowiańskiemu. Fakt, że ustrój rodowy jest naszym rodzimym ustrojem, jest w czasach dzisiejszych bardzo ważny. Wszak dziś wszystkie narody, przebudowujące swój ustój, sięgają do swojej dawnej przeszłości ustrojowej. W nawrotach narodów do ich pierwotnej organizacji jest zdaje się pewna uzasadniona racja. Każdy przecież rodzimy ustrój jest w pewnym przynajmniej stopniu wytworem plemiennej duszy narodu czy też ludu, który go ongiś wytworzył. Właściwości zaś takiej duszy nie często i szybko oraz niełatwo się zmieniają. Nie dziw tedy, że dziś, kiedy narody nie mogą opanować skutków nadmiernego indywidualizmu, nawracają do ustrojów najbardziej zbliżonych do swych prymitywnych może, ale rodzimych ustrojów. Pamiętać przytem należy, że nadmierny indywidualizm i idące z nim w parze rozproszkowanie społeczeństwa było w stosunku do poprzedzających ustrojów nietyle postępem, ile raczej degeneracją.

Nie mam oczywiście tutaj zamiaru rzucać na papier szczegółowo zarysowanego statutu czy programu owych wspólnot czy związków rodowych. Byłoby to rzeczą niecelową i przedwczesną. Ograniczę się jedynie do kilku myśli ogólnych. Wysuwając myśl o ustroju rodowym wsi polskiej, uważam, że należałoby umożliwić organizację istotnych majątkowych i gospodarczych wspólnot rodowych, podobnych w swym ustroju do południowo-słowiańskich, do dziś jeszcze żyjących pełnią życia, zadrug. Nasze zadrugi byłyby tylko o tyle od jugosłowiańskich różne, że można by je zorganizować wedle bardziej współczesnych metod organizacyjnych jako instytucje celowe, oparte jedynie o moment krwi. W zadrudze takiej żyłoby we wspólnocie majątkowej kilka do kilkunastu rodzin. Na czele zadrugi stałby jej naczelnik czy starszy, wybierany przez głowy rodzin zadrugi na okres dożywotni. Wspólnota rodowa byłaby instytucją prawną i korzystałaby z pewnej opieki państwa. Wspólny majątek rodu byłby tylko rodową własnością, absolutnie niepodzielną. Ród jednakże jako taki mógłby nim dysponować całkowicie, to znaczy sprzedawać go w całości lub częściowo, mieniać, obdłużać i darowywać. Jednostka czy rodzina mogłaby wprawdzie ze związku występować, ale nie miałaby przy występowaniu prawa do żadnego nadziału. Prawo do działu miałaby tylko część rodu w razie, że się tak wyrażę, rójki kolonizacyjnej, w czasie, kiedy na skutek możliwości zorganizowania nawej zadrugi potrzebowałaby kapitału do jej założenia. W zadrudze pozostawaliby żonaci męscy potomkowie rodu, oraz niezamężne kobiety. Dziewczęta, wychodzące zamąż, ród miałby obowiązek wyposażyć. Osobiście zdobywany majątek należałby do jednostki tylko do śmierci tejże; po śmierci odziedziczałby go ród, do którego dana jednostka należała.

Tradycja organizacji rodowej dochowała się jedynie w formie już zdegenerowanej u naszej szlachty. Jest zatem samo przez się zrozumiałą sprawą, że nawrót do niej nie będzie zbyt łatwy i prosty. Wyobrażam sobie, że najpierw należałoby założyć pewną małą ilość zadrug doświadczalnych, zorganizowanych oczywiście na ochotnika. Miałyby one wypracować zarówno nowe formy współżycia jak też zebrać potrzebne doświadczenia dla środka opieki nad zadrugami, oraz dla prawodawcy zadrug. Dopiero po kilku latach doświadczeń możnaby przystąpić do tworzenia organizacji wspólnot rodowych na większą skalę.

Nie przypuszczam jednak, żeby nawet i wtedy można było i trzeba zorganizować całą naszą wieś w ustroju rodowym. Trzeba się zgóry liczyć z tem, że obok nowego typu gospodarstw pozostaną także gospodarstwa jednorodzinne. Jeśli zadrugi mają przynieść istotną korzyść narodowi, to nie mogą być organizowane na drodze przymusu. W takim jednak razie znajdzie się sporo elementów, które będą wolały nie poddawać się rodowej dyscyplinie. Zapewne niejeden zwolennik bezwzględnych i wszystko ogarniających rozstrzygnięć odniesie się krytycznie do mego w tym względzie liberalizmu. Na to jednakże odpowiem, że sprawa własnego wyboru dyscypliny i własnowolnego poddania się ostrzejszej dyscyplinie jest niesłychanie ważnym momentem ze stanowiska celowości politycznej i wogóle organizacyjnej. Ochotniczo powstałe zadrugi będą istotnie odpowiadały nadziejom, jakie w nich pokładamy. To zaś, że nie ogarnęłyby one całości społeczeństwa wiejskiego, nie jest rzeczą niepożądaną. Trzeba tu mieć na uwadze doświadczenia organizacyjne Kościoła Katolickiego, a nawet na tych doświadczeniach trochę się wzorować. Wiemy z historji, że Kościół w miarę wyrastania nowych potrzeb organizuje nowe organizacje, a zwłaszcza zakony, ale rzadko likwiduje stare. Jest to wielka mądrość. Wszak w każdem społeczeństwie zawsze żyje kilka niejako warstw cywilizacyjnych i psychicznych. Znajdują one w tej mnogości organizacyj możność wyżycia się i służby Kościołowi. Zadrugi zatem byłyby w naszem życiu narodowem jakby jakimś nowym zakonem o specjalnych celach, służących specjalnym potrzebom.

Jakie zatem miałyby zadrugi cele i jakim służyłyby potrzebom? Odpowiadając na to pytanie, muszę przedewszystkiem zdać sprawę, w jaki sposób doszedłem osobiście do pomysłu zastosowania systemu rodowego w organizacji wsi polskiej. Najpierw w roku 1927 zorganizowałem związek rodowy własnego rodu. Związek ten, pomyślany jako stowarzyszenie o zalegalizowanym przez władze statucie, nie był oczywiście zadrugą. Miał on cele raczej społeczno-narodowe, zrozumiale na terenie województwa tarnopolskiego. Oczywiście, że cele takie mogłyby mieć i przyszłe zadrugi. Nawiasem mówiąc, z powodu mego przebywania w Poznaniu żyje tylko idea związku, a nie sam związek. W każdym jednak razie o zagadnieniach rodowych myślałem naskutek tego dość często.

Nowego w tej dziedzinie bodźca i materjału do rozmyślań dostarczyła mi niemiecka reforma rolna, ściślej prawo o dziedzicznych dworzyszczach czy też zagrodach. Prawu temu poświęciłem dość obszerne uwagi w książce „Rasizm przeciw Słowiańszczyźnie“. Odniosłem się do podstaw i przesłanek tego prawa negatywnie. Wysunąłem przypuszczenie, które późniejsze obserwacje sprawdziły, że prawo to utwierdzi u niemieckich chłopów system dwojga dzieci. Złą stroną niemieckiej ustawy jest zniesienie wolnego obrotu ziemią oraz dziedziczenie tylko przez jednego spadkobiercę. Wprawdzie w istocie zagroda chłopska stała się jakby własnością rodu, ale ustawa nie została w tym względzie konsekwentnie przeprowadzona.

Krytyczne to ustosunkowanie się do niemieckiej ustawy tak mię opanowało, że kiedy przed rokiem kol. mag. M. Suchocki w prywatnej ze mną rozmowie wysunął ideę organizacji rodowej narodu polskiego, to odniosłem się do tego pomysłu także całkiem krytycznie.

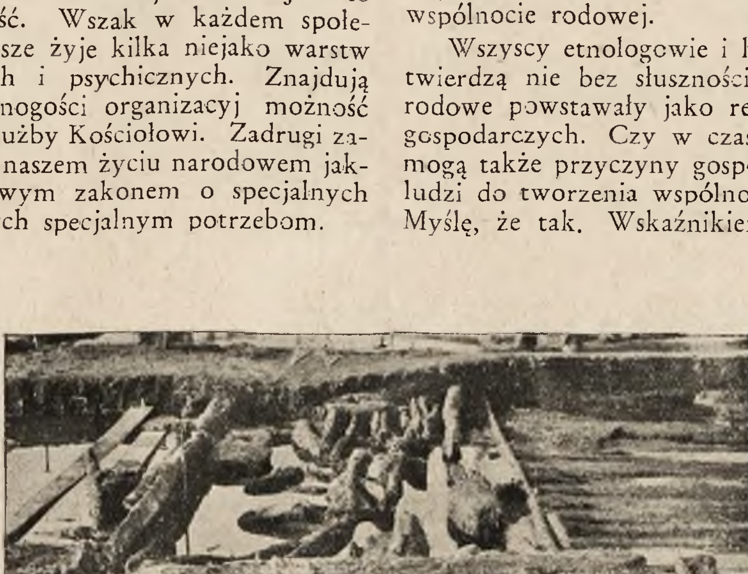
Dopiero punktem zwrotnym stała się dla mnie lektura książki p. Nory Waln, zatytułowanej „Dom na wygnaniu“. Amerykanka ta miała sposobność przeżyć dość długi czas w chińskiej zadrudze, to znaczy w domu rodu Linów. Dopiero po przeczytaniu tego reportażu zrozumiałem i dostatecznie sobie uświadomiłem, czem może być dla narodu organizacja rodowa, a właściwie życie we wspólnocie rodowej.

Wszyscy etnologowie i historycy ustroju twierdzą nie bez słuszności, że wspólnoty rodowe powstawały jako rezultat przyczyn gospodarczych. Czy w czasach dzisiejszych mogą także przyczyny gospodarcze zmuszać ludzi do tworzenia wspólnot majątkowych? Myślę, że tak. Wskaźnikiem tych potrzeb jest choćby pęd do spółdzielczości. Pozatem postępuje u nas systematycznie rozdrobnienie własności rolnej. Wedle mego przekonania zadrugi, powstałe np. obecnie z kilku małych jednorodzinnych gospodarstw chłopskich, byłyby ekonomicznie o wiele silniejsze, elastyczniejsze i bardziej przedsiębiorcze. Trudniej byłoby np. zadrugę lekkomyślnie zadłużyć lub też przepuтać, choćby z tej przyczyny, że nie byłaby ona własnością jednostki, ale własnością rodu. Zadrugi także obok rolnictwa mogłyby uprawiać przemysł domowy, handel zarówno wiejski jakoteż szerszy, intensywną uprawę roli w postaci ogrodnictwa, sadownictwa, a wreszcie przemysł rolniczy. Działoby się to dlatego, że zadruga rozporządzałaby nietylko większemi kapitałami, które dziś, o ile u chłopów są, to siedzą w pończochach, ale też dlatego, że rozporządzałaby ona zorganizowanym człowiekiem. Nawiasowo wspomnę, że zadruga mogłaby rozwiązać problem bezrobotnej inteligencji chłopskiego pochodzenia, zużywając ją jako materjał w pewnym stopniu kierowniczy i inicjatorski. Jeśli mowa o sprawach gospodarczych, to w rodowym systemie łatwiej byłoby przeprowadzić komasację i meljoracje oraz stosować nowe wynalazki w zakresie rolnictwa.

Ród zorganizowany w dobrze funkcjonującej zadrudze byłby pozatem niesłychanie silną komórką kulturalną. Najważniejszą jego zaletą jest to, że byłby on zdolny wychować o wiele lepiej młodzież, aniżeli jedna rodzina. Kto zna życie chłopskie, ten wie, jak ciężko przechodzi dziecko swą edukację. W lecie rodzice, nie mając z powodu robót polnych czasu, mało się dziećmi zajmują. W zimie zaś małe dziecko ulegnie niejednemu zgorszeniu w pełnej ludzi chałupie. W ustroju rodowym byłyby dzieci o wiele lepiej chowane w pewnego rodzaju ochronkach i szkołach rodu, nie opuszczając tak jak w Sowietach rodziców. Ród pozatem, będąc od rodziny zamożniejszym, miałby wogóle o wiele większe możliwości kulturalne, aniżeli jedna rodzina.

Najważniejszych może jednakże i największych skutków należałoby się po organizacji rodowej spodziewać w dziedzinie ludnościowej. Przecież to ustrój rodowy przy rolniczym trybie życia zadecydował o niesłychanej wprost prężności biologicznej Chin. Ustrój rodziny bowiem ma to do siebie, że proteguje wielki przyrost naturalny narodu, wśród którego działa. Dzieje się to najpierw ze względu na pewne ogólne nastawienie światopoglądowe, związane ściśle i zawsze z rodem. W rodzie jednostka cofa się niejako na plan dalszy, a na czoło wysuwa się interes, a nawet pewnego rodzaju mistyka rodu. Jednostka jest w nim o tyle cenna, o ile przyczynia się do siły i potęgi rodu. Ród zaś jest wtedy silny i potężny, kiedy jest liczny. Gdybyśmy zrealizowali np. organizację rodową tak pomiędzy chłopami jak i pomiędzy ziemiaństwem, to bylibyśmy nieraz świadkami takiego zjawiska, że mniej bogaty ale liczny ród chłopski miałby większe znaczenie aniżeli bogatszy, ale nieliczny ziemiański. Charakterystyczną cechą rodu jest zawsze pewnego rodzaju kult przodków oraz kult potomstwa. Człowiek w rodzie przezwycięża tak bardzo rozkładową postawę indywidualistyczną, a uczy się myśleć, a co jeszcze ważniejsze, działać pokoleniami. Ród potrzebuje zatem wielkiej ilości ludzi zarówno dla swych celów mistyczno-światopoglądowych jak też dla swego znaczenia polityczno-społecznego. Pomijamy tu samo przez się zrozumiały moment gospodarczy. Przecież ludzie stanowią dla

(Ciąg dalszy na str. 4-ej)



Jedna ze ścian chaty trzyizbowej z osady bagiennej w Biskupinie.

Adam Marcinkowski, Lublin

Szosy i motoryzacja

Dziedzina, która z dniem każdym zwraca coraz większą uwagę społeczeństwa — to stan dróg bitych, a w związku z tem projekty motoryzacji kraju.

I nic dziwnego. Kraj bez dróg musi chromać w wewnętrznym obrocie gospodarczym i ma ułamane skrzydła na wypadek konfliktu zbrojnego. Dodatnie walory sieci dobrze rozbudowanej nie dadzą się nigdy zaprzeczyć. Są one życiodajnym motorem prawidłowej cyrkulacji. To wszystko sklania do analizy naszego stanu posiadania. Uczyć się bowiem musimy ciągle i nieustannie patrzeć w rzeczywistość Polski z otwartymi oczyma, by jutro zastało nas całkowicie przygotowanemi, byśmy mogli przekuwać w czyn marzenia.

Drogi bite.

Przechodząc ad rem, przyjrzyjmy się bliżej naszej sytuacji w dziedzinie dróg bitych. Według małego rocznika statystycznego z r. 1935 (wydanego nakładem Głównego Urzędu Statystycznego) mamy w Polsce do dyspozycji 46.800 kilometrów szos (dane z r. 1933). Dla ilustracji dalej posługiwać się będziemy grupami województw, z tem, że w skład województw zachodnich zaliczamy: śląskie, poznańskie i pomorskie: centralnych: łódzkie, kieleckie, warszawskie, lubelskie i białostockie; południowych: krakowskie, lwowskie, stanisławowskie i tarnopolskie; i wreszcie wschodnich: wileńskie, nowogródzkie, poleskie i wołyńskie .

Stąd na poszczególne grupy województw wypada dróg bitych: zachodnie — 12.000 km na obszarze 47.187 km kwadr.; centralne — 15.700 km na 137.833 km kw.; południowe — 15.400 km na 79.215 km kw.; wschodnie — 3.700 km na 124.399 km kw.

Z tych cyfr należy przytoczyć następujące pochodne, obrazujące dokładniej nasilenie i gęstość szos: W całym kraju przeciętnie wypada 12 kilometrów dróg o twardej nawierzchni na 100 km kwadr. obszaru. Przyczem stosunek ten w poszczególnych zespołach województw wynosi: zachodnie — 25 km (na 100 km kwadr.), centralne — 11 km (100 km kw.), południowe — 19 km (100 km kw.), wschodnie — 4 km (100 km kw.).

Czyli zachód ma nad wschodem 6-krotną przewagę w unerwieniu. Rozpiętość olbrzymia. W stosunku do liczby mieszkańców poszczególnych okolic sytuację określają liczby takie: Na 100.000 mieszkańców wypada w Polsce przeciętnie 1,3 km szos, w tem w województwach: zachodnich — 2,7 km, centralnych — 1,2 km, południowych — 1,8 km, wschodnich — 0,7 km.

Smutne refleksje nasuwa inne zestawienie. Według danych Rocznika Statystyki Rzeczypospolitej Polskiej z r. 1930 (wydawnictwo Głównego Urzędu Statystycznego), kilometraż szos w poszczególnych województwach przedstawiał się, jak następuje: Poznań — 6.064 km, Kraków — 5.882 km, Lwów — 4.990 km, Pomorze — 4.296 km, Warszawa — 4.077 km, Stanisławów — 3.495 km, Kielce — 2.882 km, Tarnopol — 2.773 km, Łódź — 2.715 km, Białystok — 2.559 km, Lublin — 2.095 km, Śląsk — 2.079 km, Wołyń — 922 km, Polesie — 815 km, Nowogródek — 715 km, Wilno — 514 km.

Ze względów zrozumiałych do tego zestawienia nie dołącza się stolicy, jak 17-tej, odrębnej jednostki administracyjnej.

Bilans ujemny.

Porównując dane powołane na początku niniejszej pracy z ostatnio przytoczonemi, otrzymamy:

Grupy województw:	r. 1930:	r. 1933:	zysk / strata:
zachodnie	12439 klm	12000 klm	— 439 klm
centralne	15268 klm	15700 klm	+ 432 klm
południowe	17140 klm	15400 klm	—1740 klm
wschodnie	2966 klm	3700 klm	+ 734 klm
Cała Polska	47813 klm	46800 klm	—1013 klm

Co to oznacza? To znaczy, że sejmiki powiatowe na zachodzie i południu nie są w stanie należycie konserwować nawierzchni szos, a w konsekwencji całe odcinki muszą być wyeliminowane z rejestru dróg bitych. Utraciliśmy przeto 2.179 km szos — wybudowano 1.166 km — bilans jednak ogólny jest ujemny i zamyka się cyfrą strat 1.013 km. Czyż gospodarka podobna nie nasuwa szeregu refleksyj? Chyba jedyny wypadek w polityce wewnętrznej jakiegokolwiek państwa europejskiego — dopuszczenie do samoniszczenia własnego dorobku!

Idźmy dalej: Zwarty obszar 6 powiatów polsko-wołyńskich: Kamień Koszyrski, Kostopol, Łuniniec, Pińsk, Sarny i Stolin o łącznej powierzchni 28.915 km kwadr. nie ma dróg bitych*). Jest to obszar równy prawie Belgji, a na nasze stosunki większy od województwa poznańskiego, mającego 26.564 km kwadr.

Ponadto na wschodzie najuboższemi w szosy są powiaty (przytoczone poniżej dane każdocześnie na 100 km kw.): Postawy — 0,3 km, Mołodeczno — 0,3 km, Horochów — 0,4 km, Brasław — 0,5 km, Stołpce — 0,6 km, Dzisna — 0,7 km, Drohiczyn Poleski — 1 km, Zdołbunów — 1 km, Włodzimierz — 1.1 km, Wołożyn — 1,5 km, Wilejka — 1,5 km.

*) Na ironję kamieniołomy w Janowej-Dolinie leżą w pow. Kostopol, a kamieniołomy w Klesowie w pow. Sarny.

Znów cisną się pod pióro cierpkie uwagi na temat, jak, gdzie i jakim nakładem buduje się drogi za wszelką cenę, pomimo kryzysu — w zestawieniu ze swoistym u nas marazmem.

Interesujący, wobec tego co powiedziano, jest podział wydatków Funduszu Pracy na inwestycje publiczne w roku budżetowym 1934/1935. Wydatki ogółem na te cele wyniosły 78,3 milj. zł. Z tego na województwa: centralne — 41.7 milj. zł. (53,3 proc.) — w tem Warszawa-Miasto 7,3 milj. zł. (9,3 proc.) —, zachodnie — 16.7 milj. zł. (21,3 proc.), południowe — 13.8 milj. zł. (17,6 proc.), wschodnie — 6.1 milj. zł. (7,8 proc.).

Rzuca się w oczy faworyzowanie stolicy — w porównaniu z 4 zacofanemi i najbardziej potrzebującemi województwami wschodniemi. Trzeba zaznaczyć, że na drogi bite, nawierzchnie ulic i mosty przeznaczono z tych sum łącznie 27.6 milj. zł. (czyli 35.2 proc.).

(Dane przytoczone zaczerpnięto z powołanego już poprzednio małego rocznika statystycznego z r. 1935).

Problem motoryzacji.

Po tych omówieniach, nie kusząc się o wyczerpanie zagadnienia dróg bitych, przejdźmy skolei rzeczy do problemu motoryzacji, ilustrując tę kwestję zestawieniami, przyczem podkreślić należy tezę, że bez budowy szos nigdy wspomniana sprawa nie wejdzie w stadjum pozytywnej realizacji.

W Polsce w r. 1931 było łącznie pojazdów mechanicznych 47.300, a w r. 1935 już tylko 34.200 — czyli stan posiadania skurczył się o 13.100.

Gdy tymczasem w r. 1934 zarejestrowano w Niemczech 866.000, we Francji 1.890.000, we Włoszech 347.000 i w Czechosłowacji 112.000. Na 1.000 przeto mieszkańców Francji wypadało 45,2 pojazdów mechanicznych; Niemiec — 13,3; Włoch — 8,4; Czechosłowacji — 7,5; a wreszcie Polski — 0,8.

Ciekawa jest dalej statystyka autobusów. Linij autobusowych było w Polsce w r. 1931 — 1410, zaś w r. 1934 — 868 (spadek o 532). Autobusów na tych linjach kursowało w r. 1931 — 2.652, a w r. 1934 już tylko — 1.408 (spadek o 1.244).

Długość szlaków autobusowych w roku 1931 wynosiła 25.000 km, a w r. 1934 — 21.000 km (spadek o 4.000 km).

Sądzić należy, że dość już tych obliczeń bolesnych. Sytuacja w tych dziedzinach jest wprost dławiąca.

Armji pracy potrzeba, by wyrównać luki. Tę armję pracy zorganizuje Polska narodowa, a w jej szeregach staną wszyscy, którzy wiedzą, czego chcą i do czego dążą. Sejsmografy statystyczne przestaną wtedy notować cyfry ujemne, których zadużo jest w naszym kraju.

Jubileusz Freuda

Twórca t. zw. psychoanalizy, lekarz wiedeński Zygmunt Freud (żyd z pochodzenia) obchodził w dniu 6-go b. m. 80-tą rocznicę swych urodzin. W związku z tem utworzył się komitet pisarzy, w którego skład wchodzą m. in.: Tomasz Mann, Romain Rolland, Jules Romains, H. G. Wells i Virginia Woolf. Komitet ten złożył Freudowi adres hołdowniczy, zaopatrzony w podpisy szeregu pisarzy i artystów.

W adresie tym m. in. czytamy:

„Prace jego w każdej dziedzinie — jako lekarza i psychologa, filozofa i artysty — wieńczą doniosłe wyniki. Odkrywca i pionier nowych dróg dwa pokolenia już wprowadził w nieprzeczuwane nawet dotychczas światy ludzkiej duszy . . .

. . . W nieustannem szukaniu i znajdywaniu zwielokrotnił obszary odkrywczej myśli ludzkiej, a przeciwnicy jego jeszcze po dziś dzień niejedną twórczą ideę mają mu do zawdzięczenia . . .

. . . Pojęcia, które utworzył, terminy, które ukuł, stały się już trwałym nabytkiem języka, weszły w żywą krew naszej mowy. We wszystkich dziedzinach wiedzy humanistycznej: w historji literatury, sztuki i religji, w prehistorji i mitologji, w folklorystyce czy pedagogice, a wreszcie nie w mniejszym stopniu w samej nawet poezji, wszędzie napotykamy wyraźne ślady jego twórczej pracy. I jeśli które z dzieł naszej epoki przetrwa wieczyście, to przedewszystkiem to odkrycie duszy ludzkiej, które zawdzięczamy Freudowi".

Tego hołdu oczywiście nie należy uważać za całkowitą afirmację twórczości Z. Freuda przez wszystkich pisarzy świata, bo wielu z pomiędzy nich napewno się z nim nie zgodzi i uważa go za zjawisko ujemne.

Indywidualności Zygmunta Freuda poświęcimy w jednym z najbliższych numerów „Głosu" obszerniejszy artykuł krytyczny.

Karol Hubert Rostworowski, Kraków

Przeprowadzka

12

Sztuka w 4 aktach

FELEK, (który słuchał z rosnącą grozą i z widocznym wysiłkiem, ażeby zrozumieć, o co chodzi, i który przy ostatnich Frankowych słowach powstał z łóżka — rzucając się na Franka, chwytając go za oba ramiona, trzęsąc nim jak gruszką).
Franek! Jeszcze słowo! Jeszcze jedno słowo, a łeb ci, psiakrew, rozwalę!

FRANEK (osłupiały, nawpół przytomny, trzęsie się jak koń, kiedy w czasie ponoszenia wyrżnie łbem o mur)

FELEK (już przestraszony stanem Franka, potrząsając nim nadal, ale jakby chciał go ocucić).
Franek! (Po chwili miękko). No Franuś!

FRANEK (nie tyle szeptem, ile jakimś okropnym chrypem — wciąż błędny).
Co?

FELEK (podtrzymując chwiejącego się na nogach Franka i sadzając go przy stole).
Odpocznij sobie. Odsapnij.

ZOŚKA, (która usiadła na łóżku, drżąc na całem ciele — do Felka).
On z tej boleści. Z tej boleści.

ŚLUSARZ, (który przez cały czas tępo słuchał, kładąc się nosem do ściany).
E . . .

NURKOWA
Możeby go tak wodą skropić . . .

NUREK
Niema co. Nasobaczył i wszystko zostanie po staremu. (Kładąc się). O jednego bujacza więcej.

NURKOWA (z westchnieniem, kładąc się).
Świecie kochany! . . .

ELEGANT (z nogami wciąż owiniętemi w kołdrę dalej nadstawia ucha).

FELEK, (który przez cały czas nie spuszczał oka z Franka — pochylając się ku niemu — półgłosem).
Ty. To ten ze świętego Jana?

FRANEK, (który przez chwilę ciężko dyszał, a potem siedział z miną zbója — ponuro — przez zęby).
Ten.

FELEK
Powiadasz, obiecał złote góry.

FRANEK (j. w.).
Tak.

FELEK
Powiadasz, za Zosię.

FRANEK
Tak.

FELEK
Ja mu się nie dziwię. Ale świnia.

FRANEK
Tak.

FELEK
No i co, że obiecał. Obiecać każdemu wolno. Ale cóżeś ty mu za to obiecał. Namówić ją?

FRANEK
Was.

FELEK
To on i o mnie wie?

FRANEK
Tak.

FELEK
Więc niby godził się . . . na spółkę?

FRANEK
Tak.

FELEK
Niby i on i ja?

FRANEK
Tak.

FELEK (technicznie).
A to świnia. (Po chwili). I na tej spółce mieliśmy we trójkę zarobić

FRANEK
Tak.

FELEK
Grube rzeczy.

FRANEK
W spadku.

FELEK
A za życia z pełnego.

FRANEK
Z pełnego.

FELEK
A to świnia. (Po chwili). I jakoś odrazu nie przystał, powiedział ci skurwysyn, że się stawiasz.

FRANEK
Nie on.

FELEK
A kto.

FRANEK (z lekkim wybuchem w głosie).
Nie on!

FELEK
Aha! . . . to niby . . . już?

Uwagi o zabytkach

Istnieje w naszym kraju świat odrębny, cichy i zamknięty w sobie, omszały. To dziedzina sterczących samotnie ruin zamków, kościołów romańskich i wczesno-gotyckich, zapomnianych archiwów, dokumentów i bibljotek, tułających się wśród rupieci na strychach opuszczonych klasztorów — kraina otulona legendami i klechdami — otwarta księga historji.

Obecnie opiekę nad zabytkami sprawują: Towarzystwo Ochrony Zabytków Przeszłości, częściowo Polskie Towarzystwo Krajoznawcze i z ramienia państwa urzędy konserwatorskie. Środki, jakiemi rozporządzają powyższe instytucje, są nader mizerne, to też praca nad utrzymaniem zabytków prowadzona jest tylko fragmentarycznie, częstokroć zupełnie nieproporcjonalnie do wartości objektów. Niema tutaj planu, niema wykazu ewidencyjnego, skompletowanego ze wszystkich dzielnic — tego co posiadamy.

Brak ścisłych wiadomości powoduje niemożliwość naukowego opracowania i propagandy prawidłowej, choćby dla celów turystycznych wewnętrzno i zewnętrzno krajowych. Mało tego. Odkryciami w tej dziedzinie rządzi całkowity przypadek, chociaż są one wagi niepowszedniej, np.: podmycie fundamentów bazyliki wileńskiej przyczyniło się do odkrycia królewskich grobowców.

Czas jednak niepowstrzymanie zaciera i niszczy, a w sukurs mu przychodzi niewiarygodny wandalizm domorosłych ignorantów w postaci rozbiórki zabytków na użyteczność powszednią, lub odnawianie niezgodne ani z duchem, ani stylem budowli.

Krzyczeć należałoby głośno, że marnieją widoczne znaki naszej przeszłości, kultury i świetności, że należy je ratować zdecydowanie! Niema w tej chwili jakiejkolwiek paraleli między stosunkami, panującemi w tej dziedzinie na zachodzie Europy, a u nas.

I jeszcze jedna kwestja. Znaną jest sprawa, że stare dzielnice miast Rzeczypospolitej, pochodzących z XII do XV stulecia, posiadają labirynty lochów i podziemi, i że setki kościołów i klasztorów, budowanych aż po drugą połowę XVIII wieku, również zawierają podziemia. Abstrahując od interesu rozkopów i poszukiwań historycznych nabierają dzisiaj te światy zapomniane — podziemne specjalnego znaczenia — mogą bowiem być zamienione przy niewielkich nakładach na schrony przeciwlotniczo-gazowe. Wytrzymując wieki zdały doskonały egzamin siły swych sklepień i murów. A dalej jeszcze argument: łatwiej jest coś odnowić, niż budować nowe podziemne miasta.

Te wszystkie momenty: jak inwentaryzacja zabytków, pełna pietyzmu opieka, propaganda ich niecodziennych wartości jakoteż wyzyskanie ich dla doby obecnej — nie będzie tak jak dziś traktowane po macoszemu w jutrzejszem państwie narodowem, które przepoi każdą pracę dla kraju miłością jego nieśmiertelnych walorów.

A. M.

Adam Klimek, Lwów

Nowoczesna architektura kościelna

„Idą czasy nowe, — zaczyna się wielka epoka", pisał swego czasu twórca i teoretyk nowoczesnej sztuki budowania Le Corbusier.

Po chaotycznych i dziwnie niesprecyzowanych pomysłach, ideach, twórczości lat ubiegłych, wyłoniło się skonkretyzowane pojęcie nowoczesnej sztuki, obejmującej i nowoczesną architekturę. Po humbugu nieszczerych imitacyj, materjałów zastępczych, wyłonił się „żelazo-beton", który stał się w dzisiejszych czasach uosobieniem nowoczesnej architektury.

Dotychczasowe ograniczone w wysokim stopniu możliwości konstrukcyjne, krępujące pomysłowość kompozycyjną, zostały znacznie rozszerzone wszechwładnym w obecnem budownictwie nowym materjałem. To, co było niemożliwem, co było przedmiotem pomysłów nieosiągalnych, zostało w wielkim stopniu urzeczywistnione.

Na tle nowego materjału otworzyły się szerokie możliwości kompozycyjne. Żelazobeton, jako nowy materjał budowlany, pozwala wykonać konstrukcje wprost nieprawdopodobne. Zostało umożliwione stawianie olbrzymich płaszczyzn na zupełnie wyprutych częściach przyziemnych budynku, nakrywanie przestrzeni o wielkich rozpiętościach stropami płaskiemi (żebrowane, kasetowe, konstrukcje ramowe).

Materjał narzucił usłonecznienie i uświetlenie przestrzeni mieszkalnych. Zmieniono radykalnie sposób konstruowania wielu części budowli, urządzenia wnętrz i, co z tem idzie w parze, sposób życia. Wytworzył się swoisty przepych, łączący z prostotą, niemal już dziś przysłowiową, typową dla dzisiejszych czasów rozrzutność w prześciganiu się w oryginalności.

Prostota w kompozycji jest cechą nowoczesnego stylu. Stworzono system „pudel", które, związane kompozycyjnie, tworzą nowoczesny budynek. Forma ta wypływa z materjału, t. j. z żel-betu, ale jest także reakcją na typową dla końca XIX w. i początku XX w. twórczość objętą mianem secesji. Przeładowanie ornamentacją zastąpiono surową prostotą, bryłę oczyszczono z nieistotnych szczegółów, przesadne i dziwaczne pomysły subjektywne zastąpiono poddaniem się pod supremat konstrukcji o charakterze geometrycznym, kopjowanie zastąpiono twórczością, wynikającą z materjału konstrukcyjnego.

Stworzono nowy styl. Nowoczesna twórczość dociera obecnie do wszystkich dziedzin naszego codziennego życia. Opanowała budownictwo domów mieszkalnych, budownictwo monumentalne, przeinaczyła mieszkania, dając „nowoczesne wnętrze", upomina się o prawa obywatelstwa na każdym kroku szczerą krzykliwością barw nowoczesnej reklamy, stwarza nowe formy dla ludzkości, nie pozostaje również obojętną na budownictwo i urządzenia kościelne.

Budownictwo kościelne, mające za sobą niespełna 2.000-letnią tradycję, przechodziło rozmaite fazy. Począwszy od katakumb poprzez bazylikę rzymską, style: romański, gotycki, renesans, barok, rokoko, okres naśladownictwa dawnych stylów (przedewszystkiem gotyku), dochodzimy do czasów obecnych. Należy stwierdzić, że styl, w którym budowano kościół, był wynikiem lub zawiązkiem obowiązującego ogólnie w danych czasach stylu.

Gdy nowoczesne budownictwo świeckie zdobyło już sobie pełne prawo obywatelstwa u szerokiego ogółu, to nowoczesne budowle kościelne spotykają się z wieloma zastrzeżeniami. Słyszy się często zdania, że nowoczesne budowle są niezgodne z duchem Kościoła, są nieliturgiczne i t. p. Słyszy się słowa oburzenia na architektów, którzy, porwani ogólnym prądem, usiłują, często bezskutecznie, ubrać w nowoczesną formę budowle kościelne.

Czy słowa oburzenia są słuszne? Czy w dziedzinie sztuki kościelnej „nowoczesność" nie ma nic do powiedzenia? Ażeby dać objektywną odpowiedź, trzeba stwierdzić po pierwsze: ażeby tworzyć dzieła z jakiejś dziedziny, należy wpierw ją dokładnie poznać. Podobnie jak malarz, chcący być zrozumianym, a mający zamiar malować dzieło historyczne, musi się zaznajomić z dziejami danej chwili, lub chcący malować przyrodę, musi ją obserwować, tak twórca religijny, czy to malarz, czy architekt, chcący tworzyć w tej dziedzinie, musi z religją wejść w ścisły związek, musi odczuć ducha religji. Często na tem polu istnieje cały szereg błędów. Silenie się na oryginalność lub wprost przeciwnie na naśladownictwo stylów minionych jest często wynikiem niewczucia się w ducha religji.

Po drugie należy stwierdzić, że obecny kierunek, sięgający do epoki starochrześcijańskiej swą często uduchowioną prostotą, bardziej odpowiada duchowi Kościoła, aniżeli style wieków ubiegłych. Swą uduchowioną prostotą przypomina twory owiane gorącą wiarą i serdeczną pobożnością pierwszych chrześcijan. Całe skupienie, cała cześć, nierozrywana tysiącem obrazów i upiększeń skierowana ku przybytkowi Boga, ku tabernaculum. Człowiek, nie niepokojony niestatycznie umieszczonemi ozdobami, ukojony harmonijną prostotą wnętrza, może się skupić i wznieść ku Bogu.

Cała uwaga zwrócona ku oblanemu potokami światła presbiterjum, stołowi ofiarnemu, na którym odprawia się codziennie bezkrwawa Ofiara św. Potężne wrażenie sprawia symbol zbawienia krzyża św., lub plastyczna grupa, unosząca się nad ołtarzem, niby zjawa, a występująca na tle jako sylwetka.

Wszystko proste, uduchowione, naiwne dziecięcą serdecznością. Ustronne miejsca, przeznaczone na konfesjonały, sprzyjają skupieniu się i godnemu odprawianiu sakramentu pokuty. W osobnej kaplicy przy wejściu chrzcielnica, oblana potokami światła, spływającemi ze szczytu kopuły, symbolizującemi zejście z wyżyn Ducha św.

Pełne dekoracyjnej prostoty szaty i naczynia liturgiczne, niepozbawione wdzięku, dopełniają obrazu wnętrza. Gdy dodamy do tego obszerny plac przed lub obok kościoła, otoczony często krużgankiem z umieszczonemi w nim stacjami Męki Pańskiej, w zacisznym kącie staropolski „Ogrojec", monumentalne, malownicze i barwne ujęcie całości, wtedy będziemy mieli zupełny obraz nowoczesnej świątyni katolickiej.

Dzisiejsza twórczość sięgnęła w głąb, do pierwszych wieków chrześcijaństwa, czując w nich pokrewnego ducha i pełnię prawdziwej prostoty chrześcijańskiej. Musi się jednak ta twórczość wystrzegać charakterystycznej dla dzisiejszych czasów supremacji formy, będącej wynikiem braku przygotowania duchowego.

Należy znać ducha katolickiego. W ten sposób ujęte zrozumienie nowoczesnej architektury kościelnej, jako jednego z etapów twórczości katolickiego ducha, będzie okresem, który stanie jeżeli nie wyżej, to przynajmniej narówni z minionemi stylami w architekturze kościelnej.

Jeżeli różne style w architekturze mówiły swoim językiem: stara bazylika zwiastowała: „Król wspaniałości przybywa"; romańskie świętynie mówiły: „Panie, Ty jedynie jesteś wielki i wieki dla Ciebie nie przemijają"; gotyk wołał: „W górę serca!"; kościoły renesansowe ze swemi aniołami i gwiazdami, jakby ścigając niebo na ziemię, mówiły: „Ja widziałem Święte Miasto, schodzące na ziemię" — to o nowoczesnych kościołach będzie można powiedzieć za psalmistą: „Wysoki nad wszystkie narody Pan, a nad niebiosa chwała Jego".

Tadeusz Olasek, Poznań

Wiatr

Jestem sobie pospolity wiatr
— nie wicher,
nie burza.
Łażę po sinych ugorach,
noszę motyle,
i z liści sobie wróżę,
niby z zielonych kart.
Wywróżyłem: pogodę na jutro
obłoki do zabawy
i eskadrę żurawi,
które kluczem otworzą wiosnę.
Teraz
siedzę sobie w wierzbowych krzach cichutko
i baziom na gałęziach
dmucham
w nastraszone futra.

FRANEK (milczy).

FELEK
Trzymaj się Franek ... hycel baba ...

FRANEK (milczy).

FELEK (siadając obok Franka).
Pocóżeś jej gadał?

FRANEK
Nie gadałem.

FELEK
To skądże wie.

FRANEK
Posłuchaj.

FELEK
I tak na poczekaniu z pyskiem?

FRANEK
Na poczekaniu.

FELEK
A ty nic?

FRANEK
Moja sprawa.

FELEK
Aha! ... (Po chwili). No to może i od niej wyszło, żebym Zosię bez „ceregieli ..." „przysposobił ...".

FRANEK
Nie od niej.

FELEK
A od kogo.

FRANEK (milczy).

FELEK (zrywając się — pochylony w stronę Franka — z przerażeniem).
Franuś!!

FRANEK (prawie szeptem).
Tak.

FELEK
Aha! (Po chwili wpatrywania się we Franka, prostując się i kładąc ręce do kieszeni — dawnym tonem). A ten tam kiedy przyjdzie po odpowiedź.

FRANEK
Jutro.

FELEK
Gdzie?

FRANEK
Do Ciepielów.

FELEK
Jaką porą.

FRANEK
Wieczorem.

FELEK (z nagłym wybuchem w głosie).
Będzie ją miał!

ELEGANT
Brawo!

FELEK (zrywając się).
Czemu brawo? Co za brawo?

ELEGANT (odwijając nogi — wystraszony).
Za pańską ostateczną decyzję ...

FELEK (chwytając żakiet Eleganta).
Zabieraj się pan.

ELEGANT
Jabym identycznie postąpił ...

FELEK (podając Elegantowi żakiet do włożenia).
Zabieraj się pan, pókim dobry.

ELEGANT (nie mogąc ze strachu trafić do rękawów).
Noc ...

FELEK
Dla pana niema nocy. (Zbierając krawatkę i kałnierzyk Eleganta, a potem podnosząc lakierki). Pan obeznany z nocami. Wytrychem w dzień się nie pracuje. Prędko. Krawatka, kołnierzyk, lakry ...

ELEGANT (odbierając podawane przedmioty).
Muszę to ubrać ...

FELEK (biorąc Eleganta za kark i prowadząc go w stronę drzwi).
Na podwórzu. Na podwórzu.

ELEGANT (zapierając się nogami).
Za pozwoleniem! ... kapelusz ...

FELEK (wyrzucając Eleganta za drzwi).
Raz, dwa! Marsz! (po zamknięciu drzwi na str.): Myślało ścierwo na swój sposób (siadając naprzeciw Franka). Franuś. A teraz, kiedyś wyrzucił za siebie... Kiedyś się wyspowiadał ... weźmy na rozum. — Chcieli cię spaskudzić, bo wiedzą, że mówiąc po naszemu, jesteś do niczego. — No, bo jesteś do niczego! Trudno! Może masz głowę, ale głową muru nie przebijesz! — Więc jak cię chcieli spaskudzić, to niech cię teraz odpaskudzą. — Babę się odstawi. Zwyczajnie. A jemu powiem tak: „Panie ładny. Pan jesteś świnia". No bo jest świnia! — „Wpadła panu w oko Franusiowa siostra, a moja narzeczona". — Dobra. — „Widziałeś pan, że Franuś lata bez portek, więc pomyślałeś sobie, że i ja latam bez portek". — No bo przecie mógł sobie pomyśleć. Czemu nie. Dobra. — „I zacząłeś nam tkać twoje pieniądze pod nos. — Masz ich widocznie za dużo. Mnie twoich pieniędzy nie potrzeba" — bo nie potrzeba — „ale zato Franusiowi potrzeba na naukę. Więc zróbmy taki interes: albo pan dasz tyle a tyle na wykończenie Franusiowych nauk, albo, za przeproszeniem, dostaniesz pan tak po pysku, jakeś jeszcze od nikogo nigdy nie dostał". — I grzecznie i sprawiedliwie.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Przegląd literacki i kulturalny

„Kultura"

A więc Poznań ma wreszcie to, na co tak długo czekał: katolickie czasopismo kulturalne. I właściwie nietylko Poznań. Brak tego rodzaju pisma dawał się dotkliwie odczuwać wszędzie u nas; te które są, nie potrafiły zadość z różnych względów uczynić potrzebom intelektualnym polskiej katolickiej inteligencji. Z prawdziwem przeto zadowoleniem powitaliśmy fakt ukazania się tygodnika „K u l t u r a", redagowanego przez tak pełną inicjatywy i entuzjazmu osobistość, jak ks. dr. Bross.

Dotychczasowe numery „Kultury" przedstawiają się ciekawie. Może nieraz poziom niektórych artykułów jest nierówny, może niektóre zagadnienia poruszane są zbyt symplicystycznie — jednak ogółem nie można, zważywszy, że pismo nabiera dopiero tchu i rozpędu, odmówić wartości tego, co już przyniosła w dorobku „Kultura". Za specjalnie wartościowy uważaliśmy m. in. artykuł p. Winowskiej o Mauriacu, dawno nie czytało się tak wnikliwej krytyki o tym skomplikowanym pisarzu katolickim, i powieść Kühnelt - Leddihna: „Jezuici, burżuje, bolszewicy".

„Przechadzki Literackie"

Wyszedł niedawno z pod prasy pierwszy numer miesięcznika literackiego pod oryginalnym, a jednak pozbawionym nalotu snobizmu, tytułem: „P r z e c h a d z k i L i t e r a c k i e".

W ostatnim roku Poznań nie posiadał własnego pisma, poświęconego w y ł ą c z n i e sprawom literackim, około którego mogłaby się krystalizować twórczość literatów wielkopolskich. Powstanie zatem takiego organu wypełni dużą lukę w życiu umysłowem naszego miasta. Już na podstawie tego pierwszego n-ru można stwierdzić dobrą kulturę literacką pisma.

Ale są i niedociągnięcia. Największem może jest pewna przypadkowość i brak wyraźnej nici przewodniej w układaniu materjału. Tak np. zupełnie niezestrojony z całością jest artykuł Stefana Napierskiego o poezji Antoniego Słonimskiego, poety który nie jest przecież żadnem zjawiskiem literackiem. Dział recenzyj i sprawozdań jest stanowczo zbyt wątły. Zato nowy miesięcznik zaznajamia nas z kilkoma, nieznanemi dotychczas, talentami z działu poezji, prozy i krytyki. Zamykają numer ciekawe „Przypomnienia" i wnikliwe, jak promienie „X", notaty z naszego życia umysłowego. Jak nas zapewnia przedmowa, pismo nie zamknie swych łamów dla zagadnień ogólno - literackich, jednak najbardziej będą mu leżały na sercu sprawy życia umysłowego, związane z Poznaniem i kresami zachodniemi.

Zgon Oswalda Spenglera

Dnia 8 maja zmarł w Monachjum znany filozof i myśliciel dr. Oswald Spengler, w wieku lat 56.

Spengler był z zawodu matematykiem i fizykiem, później zajął się filozofją, socjologją, a nawet ekonomiką. Wsławil się wydaną po wojnie książka p. t. „Untergang des Abendlandes" („Zmierzch Zachodu"), w której ze skrajnym pesymizmem wyrażał się o dalszych losach cywilizacji i kultury europejskiej.

Przypuszczamy, że czasopisma polskie, zwłaszcza filozoficzne i socjologiczne z okazji zgonu Spenglera zaznajomią polską publiczność szerzej i głębiej w obszerniejszych essayach z myślą tego wielkiego indywidualisty.

Paul Valery po polsku

Z dużem uznaniem przyjmujemy ukazanie się polskiej antologji niewątpliwie najwybitniejszego poety dzisiejszej Francji, Pawła Valéry p. t. „Utwory wybrane" w przekładzie i układzie młodego poety Romana Kołonieckiego. Tom ten reprezentuje wszystkie dziedziny twórczości Valéry'ego, mamy więc dwadzieścia utworów poetyckich, poematy prozą, rzecz sceniczną „Semiramida" oraz fragmenty prozy krytycznej. Szersze społeczeństwo polskie zaznajamia z indywidualnością poety francuskiego obszerny wstęp „Paweł Valéry, poeta i filozof" napisany również przez Romana Kołonieckiego.

Pod światło...

Walka klik czy wielkich idei?

Publiczną tajemnicą jest fakt, że „sanacja" przeżywa poważny kryzys. Rezultat tego kryzysu można streścić w słowach: umarła „sanacja" z przed roku 1935 — narodził się cały szereg „sanacyj" i „sanacyjek", wzajemnie się zwalczających.

O co walka się toczy? czy o wielkie idee?

Chyba nie, skoro wszystkie grupki powołują się na jeden autorytet i jedną „ideologję". Zatem należy przyjąć, że idea, jeśli wogóle jest, jest jedna — wspólna.

Może walka idzie o programy?

Tych jednak, jak dotąd, żadna z grup poza mglistemi frazesami nie ujawniła.

Więc o co idzie?

Żeby odpowiedzieć na to pytanie, trzeba zdać sobie sprawę, że „sanacja" nie tworzyła nigdy jednolitego obozu ideowo - politycznego w pełnem tego słowa znaczeniu, obozu, któryby trwał i walczył o zasady przez siebie wyznawane i głoszone.

W obecnych warunkach zagadnienie rządu i rządzenia wszystkie „sanacyjne" grupki uznały za przedmiot zabiegów między sobą. O tę „perłę" cała pstrokacizna dziedziców ubiega się dzis i walczy.

Zmiana rządu przestała już być zwykłą formalną tylko „zmianą warty", a nabrała dla zainteresowanych i skłóconych grupek istotnego sensu, sensu ich być albo nie być.

W tem właśnie tkwi źródło tych rozgrywek „sanacyjnych", które mają charakter walki klik, a nie walki o wielkie idee.

Z natury rzeczy zwycięstwo tej czy innej grupy może być tylko krótkotrwałem zjawiskiem. Piramida bowiem oparta na wierzchołku musi ustąpić miejsca piramidzie o szerokim i mocnym fundamencie całego narodu.

J. T.

Skutki i przyczyny

A więc — mamy odwrót na całej linji od dotychczasowej „klasycznej" polityki walutowej. Swoboda obrotów pieniężnych zagranicą należy do przeszłości. Wprowadzono reglamentację najpierw dewizową, a wkrótce potem i towarową, rozciągając zakaz przywozu na tę resztę towarów, która jeszcze mogła być wprowadzona do kraju bez osobnych pozwoleń ministerjalnych.

I tak Polska w swych stosunkach zagranicą znalazła się w pewnego rodzaju kaftanie bezpieczeństwa. Dlaczego? — Bo w ostatnim czasie rozwinęła się spekulacja złotem, dewizami i obcemi walutami, bo ludność zaczęła tezauryzować.

Tak brzmi oficjalna interpretacja. Pewne pismo żydowskie utrzymuje, że to skutki zajść antyżydowskich. A może i skutki braku zaufania do kierunku i metod naszej polityki gospodarczej, pełnej załamań i sprzeczności? Wszak w okresie kryzysu światowego znaleźliśmy się bodaj na pierwszem miejscu pod względem intensywności i długotrwałości przejawów kryzysowych, przez długie lata nie potrafimy wydobyć się z dna spadku produkcji, obrotów i konsumcji, niewiadomo, czy zdołamy trwale zrównoważyć nasz budżet państwowy — jednem słowem cofamy się albo stoimy na miejscu, gdy równocześnie inne państwa posuwają się naprzód.

*

„Sanacja" zbiera obecnie owoce swej dziesięcioletniej działalności. A ponieważ są to owoce gorzkie, więc różne jej odłamy nie chcą się do ich wyhodowania przyznać. „Pułkownicy" umywają ręce, przestają „zyrować weksle", niedwuznacznie potępiają ostatnie posunięcia gospodarcze rządu. Natomiast lewicujący odłam „sanacji" przypisuje obecną niedolę gospodarczą błędnej polityce poprzednich rządów, kierowanych przez pułkowników, domaga się pełnej planowości, robót publicznych na wielką skalę, nowej, odważnej polityki pieniężno - kredytowej (czytaj inflacji).

Rekryminacje te ubierane są w formę słowną względnie umiarkowaną, boć pozostaje świadomość wspólnego pochodzenia z jednego pnia. Niemniej, wyraża się w nich chęć ucieczki od odpowiedzialności. Czy ona się uda, śmiemy wątpić.

*

„Sanacja" dbała zawsze o fasadę zewnętrzną, o „mocarstwowość" formalną, o szeroki gest. Nie szła w głąb życia, nie rozumiała społeczeństwa, jego dążeń i potrzeb. Nie potrafiła — mimo pozornych sukcesów — zorganizować żywych sił społeczeństwa, bo była mu obca. Jeżeli starcie pokostu „sanacyjnego" z oblicza narodu przyjdzie stosunkowo łatwo, skutki zaniedbań i błędów dziesięcioletnich dadzą się odczuwać przez dłuższy czas.

„Sanacja" pozostawi po sobie spuściznę ciężką i przykrą. Zadania, które stoją przed Obozem Narodowym, są trudne i wymagać będą wysiłku niecodziennego.

(mch.)

(Dokończenie ze str. 1-szej)

rodu także materjał roboczy. Ale nietylko ta strona dziedziny gospodarczej działa w kierunku protegowania większego przyrostu naturalnego. Najważniejszym i najbardziej decydującym momentem będzie fakt opieki, jaką ustrój rodowy zapewnia jednostce. W ustroju rodowym nie jest do pomyślenia fakt zdychania człowieka, należącego do rodu, pod płotem. Rodzice nie będą w ustroju rodowym mieli obaw, co do przyszłości dzieci.

Ustrój rodowy wpłynąłby także na układ stosunków społecznych. Najbardziej błogosławionym skutkiem będzie przełamanie przeciwieństw klasowych. Wiadomo z nauki o ustroju rodowym, że prowadzi on raczej do podziału pionowego społeczeństwa, a nie do podziału poziomego, charakterystycznego dla ustroju stanowego czy też klasowego. Ustrój rodowy zlikwidowałby przedewszystkiem przedział klasowy pomiędzy chłopami a ziemiaństwem. Stałoby się to głównie dzięki temu, że, jak już wyżej wspomniałem, w ustroju rodowym współczynnikiem znaczenia rodu byłby także człowiek, zwłaszcza jego liczebność, a nietylko ilość posiadanej ziemi. Ustrój rodowy działałby w ten sposób, że chłopów w pewnym sensie podnosiłby i niejako uszlachcał, a ziemian natomiast uchłopiał. Pewnego rodzaju schłopienie ziemian jest konieczne, o ile ta warstwa chce się utrzymać na powierzchni życia. Jestem głęboko przekonany, że uratować ziemiaństwo w Polsce i zachować dla niej te walory cywilizacyjne, które ziemiaństwo szlacheckiego pochodzenia posiada, może jedynie urodowienie majątków ziemiańskich. Zniesie to lekkomyślność jednostkowych właścicieli majątków i nauczy tę warstwę pracy na swoim majątku. W zadrudze ziemiańskiej będzie mógł i będzie musiał pracować nietylko jeden właściciel majątku tak, jak to jest dzisiaj, ale znajdą tam pracę w postaci zarządów ogólnych, buchalterów, ogrodników, kierowników gospodarstwa rybnego, leśnego, wreszcie handlowców i t. p., wszyscy członkowie rodu. Bardzo ważną konsekwencją ustroju rodowego będzie likwidacja ubezpieczeń społecznych. Przecież ród będzie miał nietylko w swych celach ubezpieczenia społeczne swych członków, ale będzie posiadał istotnie o wiele większe możliwości ubezpieczenia ich, aniżeli to może słaba społecznie i ekonomicznie rodzina oraz zbiurokratyzowane ubezpieczalnie społeczne.

Myślę sobie, że odpowiednio zorganizowany ustrój rodowy mógłby się walnie przyczynić do zespolenia narodowego ruskich kresów wschodnich z polskiem terytorjum macierzystem. Szczegółowego w tym względzie programu niesposób obecnie omawiać.

Ustrój rodowy niesie jednakże ze sobą pewne niebezpieczeństwo. Jest niem pewna inercja społeczeństwa rodowo zorganizowanego w dziedzinie politycznej. Inercję tę podkreślają dość często uczeni zajmujący się tym typem ustroju. Jest to dość zrozumiałe jeśli się będzie pamiętać, że poszczególne związki rodowe rzadko zdobywają taką potęgę, aby mogły opanować jakieś wielkie zespoły terytorjalne. Koniecznem tedy będzie powstanie jakiejś silnej organizacji nadrzędnej o celach politycznych, którąby mogła na dłuższy okres czasu utrzymać zwartość polityczną społeczeństwa. Takiem ciałem mogłaby być tylko liczna, na zakonny sposób zorganizowana partja dyktatorska, o której pisałem w artykule VI-tym. Partja taka byłaby organem politycznym narodu, realizującym niejako misję tego narodu; rody natomiast byłyby organami podstawowemi biologicznego życia i rozwoju, komórkami wychowania i laboratorjami niejako siły biologicznej i cywilizacyjnej narodu. Korporacje wreszcie, zwłaszcza w okresie przejściowym stanowiłyby pośrednie ogniwo pomiędzy rodami oraz partją rządzącą i państwem.

Ustrój rodowy, będący naszym rodzimym wytworem ustrojowym, byłby zdaniem mojem o tyle jeszcze wartościowym, że byłby on swoistem rozwiązaniem, mogącem konkurować z ustrojami bolszewickim i niemieckim. W porównaniu z niemi ma on tę zaletę, że przeprowadzając przezwyciężenie indywidualizmu w ustroju nie uderza w prawo własności i nie usztywnia stosunków w zakresie własności a zwłaszcza w zakresie własności ziemskiej. Zatrzymuje on przedewszystkiem wolny obrót ziemią, niesłychanie ważny ze względów gospodarczo-wychowawczych. Przecie zniesienie wolnego obrotu ziemią stanowiłoby premję dla elementów źle gospodarzących i powstrzymywałoby w ten sposób wszelką selekcję.

W tem sęk...

„Starozakonny akademik"

W. Rzymowski, członek P. A. L.-u i czołowy publicysta „sanacyjnego" „Kurjera Porannego" w artykule „Starozakonni — czyli dwa nacjonalizmy" porównuje, identyfikując ze sobą, polski ruch narodowy z żydowskim nacjonalizmem.

Nie wdając się w polemikę z naiwnemi naprawdę wywodami p. Rzymowskiego warto zwrócić uwagę na jeden ważny moment, mianowicie autor, szukając genezy polskiego nacjonalizmu, stawia następującą tęzę: gdyby nie istniał nacjonalizm żydowski, nie byłoby nacjonalizmu polskiego. Byt polskiego ściśle uzależniony jest od żydowskiego.

Jak dalece dopuścił się p. Rzymowski symplifikacji zagadnienia nacjonalizmu wogóle, dowodzi choćby przykład narodu włoskiego, gdzie nacjonalizm powstał i zwyciężył bez „współtwórczego" wpływu kwestji żydowskiej i żydowskiego nacjonalizmu. W tym swoim występie o „starozakonnych" akademik mimo woli okazał się „starozakonnym" nie rozumiejącym zupełnie przedewszystkiem współczesnego ruchu narodowego w Polsce. Na jego usprawiedliwienie można chyba to powiedzieć, że w tem zacofaniu nie jest odosobniony...

Piękny i na czasie wniosek

Konkretny przykład wojny współczesnej, wprawdzie trochę specyficznej, bo mającej charakter wojny kolonjalnej — wyprawa włoska na Abisynię — uzmysłowił doskonale wszystkim, jak wielkie znaczenie dla zwycięstwa w wojnie posiada siła moralna narodu oraz jego należyte przygotowanie techniczne.

Można bez przesady powiedzieć, że w wojnie tej zwyciężyła siła moralna współczesnych Włoch, ich wewnętrzna solidarność i entuzjazm oraz cud współczesnej techniki. Gdyby nie ten drugi czynnik, który został doskonale wykorzystany, to los wojny włosko - abisyńskiej z pewnością nie byłby tak szybko rozstrzygnięty, tembardziej, że partner abisyński pod względem siły bojowo - moralnej, jakkolwiek swoistej, nie był wcale gorszy od włoskiego.

Wojna więc włosko - abisyńska i jej zakończenie jest doskonałą lekcją poglądową prawdy bytu państwa. Ta lekcja jest szczególnie ważna dla Polski, która ma świetnego żołnierza i również dobrego oficera, ale odczuwa niewątpliwie silnie potrzebę należytych środków na nowoczesne wojenne zaopatrzenie. Jakikolwiekby ten stan był dziś, choćby nawet doskonały, jutro może okazać się niedostateczny wobec olbrzymiego wyścigu zbrojeń narodów wogóle, a naszych od zachodu i od wschodu sąsiadów w szczególności. Z tej sytuacji piękny i na czasie wniosek wyciągnęło narodowe wydawnictwo „Kurjera Poznańskiego", które podjęło myśl ufundowania dla armji samolotu bojowego „Chrobry". W pierwszym dniu ogłoszenia mobilizacji zbiórkowej na ten cel wpłynęły blisko 4 tysiące złotych! Należy sądzić, że ta inicjatywa, która niewątpliwie symbolizuje pozytywne stanowisko całego Obozu Narodowego w sprawach potrzeb naszej armji, spotkała się z gorącym aplauzem wszystkich. Zbiórka winna w szybkim tempie dać dobry rezultat, by armja nasza wiedziała, że dla tej, która niepodległości i honoru narodu i państwa strzeże, społeczeństwo gotowe jest na największe ofiary i najszersze obejmujące masy.

Adres Redakcji: Poznań, św. Marcin 65. — Telefon 59-97. Konto P. K. O. 201 410. Adres Administracji: Poznań, św. Marcin 65. — Telefon 59-97.

PRZEDPŁATA (wraz z przesyłką): miesięcznie 0,70 zł, kwartalnie 2,— zł, półrocznie 4,— zł, rocznie 8,— zł.

CENY OGŁOSZEŃ: cała strona — 240 zł, ½ strony — 130 zł, ⅓ strony — 90 zł, ¼ strony — 70 zł, ⅛ strony — 40, zł, 1/10 strony — 30 zł.

Przedstawiciel redakcji w Łodzi — Konstanty Dobrzyński (Piotrkowska 91), we Lwowie — Aleksander Kośmiński (św. Zofji 50), w Krakowie — Jan Bielatowicz (Uniw., Coll. Novum), w Wilnie — Stefan Łochtin.

Rękopisów nie zwraca się. Rękopisów nie zwraca się.

Redaktor naczelny i wydawca: Jan Wyganowski. Red. odpowiedzialny: Władysław M a c i ą g, Poznań.

Czcionkami Drukarni Wydawniczej Fr. Krajna Spółka z o. o. Poznań, ulica Strzałowa 2 a.